Rozmaitości

DNIA 7. LUTEGO — Nr 6. — 1835 ROKU.

BITWA POD MOZAJSKIEM.

Z przypomnień pewnego muzyka byłych pułków westfalskich.

Po nader spiesznym pochodzie przeszliśmy wieczorem około godziny jedénastéj Kaługę, na któréj brzegach nazajutrz, d. 7. września 1812, dwie mile od Mozajska, główna bitwa roztrzygnąć miała, czyli nam Moskwę wypadnie zaniechać, alboli nie. Cały dzień nic nie jadłem, prócz surowych kapuścianych głąbi, które po polach wyrywałem. Wódki, któréj pod Orszą mieliśmy jeszcze podostatkiem, już nam także od niejakiego czasu nie dawano; szczupły jéj zapas, jaki pułki prowadziły z sobą, chowano na dzień bitwy. Skorośmy się — po lewéj stronie, podle wielkiego, dniem wprzódy Rossyjanom wziętego szańcu — rozłożyli, szukałem okruchów chleba w mojéj torbie myśliwskiéj; to samo uczynili moi dwaj koledzy, z którymi od dawna wspólną kuchnię utrzymywałem, i w ten sposób zgotowaliśmy sobie polewkę z chleba i głąbi kapuścianych, dla posilenia czémeśkolwiek próżnych żołądków. Noc była bardzo chłodna i tylko niezmierne trudy dzienne to sprawiły, żeśmy usnęli na czas krótki — wielu z naszych po raz ostatni!

Przez noc panowała w obozach, oświeconych niezliczonémi ogniami straży nocnych, spokojność największa. Obie armije nieprzyjacielskie miały z dnia przyjściem wszystkich w swojéj mocy będących użyć środków zniszczenia, aby jedna drugą do odwrotu zmusiła.

Sądziłem dotąd, że spieszny odwrót Rossyjanów był skutkiem ułożonego planu; ale dopiéro teraz poznałem, żem był w błędzie; trudno albowiem przypuścić, ażeby wojsko rossyjskie po to tylko szło aż po Niemen na przeciw Francuzów, iżby się potém aż do Moskwy cofnęło, i tam dopiéro, sił i odwagi pozbawione, po długim, pospiesznym, aczkolwiek wzorowym odwrocie (bo długi odwrót i najlepszego żołniérza męztwa po-zbawia), nieprzyjacielowi stanowczą bitwę wydało. Z resztą nigdzie mniéj o postępach wojny dowiedzieć się nie można, jak przy saméj armii, jeźli nie ma sposobności czytania gazet.

Nazajutrz o godzinie piątéj, po kilku działowych wystrzałach, uderzono pobudkę. W mgnieniu oka zerwało się wojsko i uzbrojone stanęło w szeregi. Słońce zeszło i zapowiadało dzień pogodny; powietrze było ciche i spokojne. Jenerał Borstel, dowodzący brygadą naszą, miał krótką przemowę do wojska. »Żołniérze!« rzekł, »udało nam się »nareszcie skłonić nieprzyjaciela do zatrzy»mania się i wydania nam bitwy. Bądźcie »mężni i pokażcie, żeście godni walczyć w za»stępach armii francuzkiéj. Zwyciężymy, bo »cesarz jest na czele naszém i t. d.«

Po téj przemowie pułki wyruszyły w pochód, i gdyśmy tak z pół godziny, przy bębnów i muzyki odgłosie, środkiem rozstawionych korpusów, zbliżali się ku linijom rossyjskim; korpus armii westfalskiéj, maszerując batalijonami, zwrócił w prawo i stanął kolumną pod laskiem, przy którym był folwark.

Lubo oprócz wczorajszéj polewki nic nie jadłem, głodny i spragniony byłem, i tak pusty żołądek miałem, jak wydęte jaje; lubo od czasu słabości mojéj na żadnym instrumencie nie grałem; jednakże, chcąc w bitwie znajdować się koniecznie, począwszy od koczowiska aż na plac boju dąłem ciągle na klarynecie z *Es*, ile tylko sił miałem.

Gdy pułki obok działobitni stanęły, i kule dział nieprzyjacielskich już nas zaczęły witać; rozkazał mi podpułkownik Lossberg, ażebym się cofnął w miejsce bezpieczne z oddziałem muzyki, a z tego powodu jeden z podoficérów zażartował sobie ze mnie; co mię mocno uraziło. Już mając odchodzić, wróciłem się, stanąłem obok niego w szeregu i rzekłem: »Ażebyś wćpan przekonał się, że się nie z tchórzostwa oddalam; zostanę tu dobrowolnie, gdzie wćpan z obowiązku stoisz.« W téj chwili kula działowa zerwała mu kaszkiet z głowy. Lekarz pułkowy, który stojąc w bliskości, słyszał, co między nami zaszło, radził mi nie zważać na tak niedorzeczną gadaninę, lecz udać się spieszno w miéjsce bezpieczne, dodając: że gdybym tutaj ranionym został, niktby wtedy nié miał względu na mnie, gdyż byłbym sam przyczyną mojego nieszczęścia. Oprócz tego, mówił, wyglądam jeszcze schorzało i powinienem się szanować. Odrzekłem na to: że moje schorzałe wyglądanie było skutkiem postu, który mimowolnie odbywać musiałem. Tu podał mi swój bukłaszek z wódką; pociągnąłem po męzku, i oddaliłem się spieszno, abym swoich kolegów dopędził. Musiałem często wymykać się kulom działowym, które koło mnie z prawéj i lewéj strony albo padały, albo w poskok bieżały.

Cokolwiek opodal od naszéj kolumny rozłożyliśmy się na trawniku, koło zarzących się jeszcze ognisk, gdzie także wielu służących z końmi stało; lecz toczące się i skaczące do nas kule, były coraz częstsze i miały jeszcze dosyć mocy oderwać nam rękę lub nogę. Zabraliśmy się więc znowu i poszliśmy w tył daléj. Zaledwośmy się o trzydzieści kroków od dawnego miejsca oddalili, gdy oto lecący granatnik z coraz mocniéjszym dawał się słyszéć poświstem. Zatrzymałem się, i by go dojrzéć i uniknąć, rzuciłem okiem po powietrzu; ale mimo natężonego wzroku nic nie widziałem, a słyszałem jednak, że wyjący jego poświst prosto ku mnie zmierzał. Razem padł, może o pietnaście kroków ode mnie, tuż koło bandy oboistów gwardyi strzelców westfalskich. Miasto rzucenia się na ziemię, każdy z nas zmykał spieszno; ale, jak na szczęście, granatnik nie pęknąwszy, zarył się w miałką ziemię. Cofnęliśmy się ztamtąd aż do folwarku, gdzie stały *ambulansy* (karéty do przewożenia chorych) i gdzie lekarze rannych zawiązywali.

Wypocząwszy tam kilka godzin, poszedłem szukać Napoleona, którego, ile możności, z blizka widzieć chciałem. Może była godzina dziewiąta, gdy go ujrzałem na wysokim, na Rossyjanach zdobytym szańcu, który tworzył punkt najwyższy, i zkąd całe bojowisko przejrzéć było można. Na szańcu i w około leżały trupy poległych Rossyjan i Francuzów — nito ofiary, któremi zdobycie jego okupiono! O ten szaniec opiérało się prawe skrzydło staréj gwardyi, zachowanéj na ostatnią walkę. Na wysypanych z ziemi wałach siedziało kilku oficerów z korpusu inženierów, którzy rysowali, i kilku innych, uważających postęp bitwy.

Napoleon, oddalony zaledwo dwadzieścia do dwudziestu pięciu kroków od starych grenadyjerów, którzy broń w kozły poskładawszy, około ognia leżeli; przechadzał się powoli: znaczny i wyszczególniający się kolorem, staroświeckim krojem swojego munduru, formą małego prostego kapelusza, jak i pochyłą, bynajmniéj nie wojskową postawą. Zdawało się, że najmniéj od wszystkich zajmował się bitwą. Przez dwie godziny skradałem się około niego: ażeby usłyszéć jego głos, obaczyć jego oko; bo to oboje mam za najciekawsze w znakomitym człowieku, którego poznać bliżéj nié ma sposobności; lecz to mi udać się nie mogło. Chodził bowiem wciąż krokiem powolnym, w postawie pochyłéj, z rękoma w tył założonémi, i ani razu w bok nie spojrzał. Pięciu lub sześciu jenerałów, rozmawiających z sobą, i czasami pojedyńczo patrzących przez dalowid, stało może o dziesięć kroków po lewéj stronie ścieżki, którą cesarz przechadzając się zrobił. Skoro jaki adjutant przybył, co jednak nie tak często się działo, jakto sobie dawniéj wyobrażałem; zaraz zwykle do jenerałów przystępował. Wtedy jeden z tychże, słusznego wzrostu i okazałéj postawy, odbiérał raporta, zdejmował kapelusz i zbliżał się do cesarza. W uniżonéj i pełnéj uszanowania postawie idąc obok monarchy, który się bynajmniéj w chodzie nie zatrzymywał, i żadnego znaku ni głową, ni ręką nie czynił, zdawał raporta i odbiérał nowe rozkazy; lecz obaj przytém rozmawiali tak cicho, że i słowa zrozumiéć nie mogłem, lubo niekiedy o kilka kroków

tylko od nich oddalony byłem. Poczém jenerał, nie salutując przy odchodzie, czego także przystępując nie czynił, oddalał się do swoich towarzyszy, przy których stał adjutant i tegoż z rokazami wyprawiał.

Uważałem, że zwykle po takiém wyprawieniu adjutanta poruszały się całe korpusy jazdy, i różne czyniły obroty; bezwątpienia, aby na tym, lub owym punkcie wzmocnić atak, lub nacierającego odeprzéć nieprzyjaciela.

Ponieważ ani cesarz, ani żaden z jego orszaku nie uważał mojego tak nierozmyślnego zakradania się, które przecież podejrzaném stać się mogło; więc byłem przezto coraz śmielszym, i uwziąłem się koniecznie, ażeby cesarz, lub który z jenerałów do mnie zagadał. Lecz Napoleon zdawał się tak pośrodku armii swojéj być bezpiecznym, iż na to, co się w około niego działo, nie uważał bynajmniéj.

Jeźli rannych przenoszono blizko cesarza, zwykle jeden z niosących »*Voila l' Empereur!*« zawołał, i w téjże chwili cierpiący ułłumiał boleść w sobie, i milcząc koło monarchy przechodzono. Po całych godzinach patrzałem na to, i przekonałem się o téj prawdzie; dla tego śmiało tym, przez pisma rozsiéwanym bajkom zaprzeczyć mogę, jakoby ranni na widok cesarza przekleństwa i złorzeczenia miotali. — Cesarz przez czas, jakem na niego patrzył, ani razu nie zażył tabaki; zdawał się być całkiem zamknięty w sobie; wszelako był bardzo spokojny. Zdaje się być podobném do prawdy, o czém poźniéj w dziełach hrabi Segura czytałem, że w dniu owym nie był najzdrowszym. — Kiedy już, jak powiedziałem wyżéj, przynajmniéj ze dwie godzin skradałem się około cesarza; poszedł tenże na prawe skrzydło gwardyi swojéj, do rozłożonego ogniska. Grenadyjerowie, siedzący około ognia, nie powstali bynajmniéj, i tylko najbliżéj stojący tyle zrobili miejsca, że cesarz mógł się dostać w ich środek. Ręce, dawniéj z tyłu trzymane, założył na krzyż na piersi, i patrzył w płomień wlepioném okiem. Wdarłem się na wał szańcu i usiadłem między oficérami od inżenierów, przenoszących na papiér położenie i postęp bitwy. Dawno sobie tego życzyłem, ażebym się choć raz z blizka bitwie przypatrzył, i to życzenie zaspokoiłem dzisiaj aż do sytu. Na przestrzeni może dwie mile obejmującéj, było rozstawionych razem trzykroć stotysięcy ludzi ze wszystkich gatunków broni, składających się nie tylko po większéj części z narodów europejskich, lecz także z wielu azyjatyckich, a to celem zabijania się wzajemnego. Z wysokiego okopu, na którym usiadłem, można było oglądać wszystko wygodnie i bez niebezpieczeństwa. Już od 7méj godziny z rana tak mocną była kanonada, że ziemia drzała nieustannie, i zdawało się, jak gdyby tysiąc olbrzymich doboszów na tysiącu olbrzymich bębnach biło okropnie łomotny *werbel*, którego aż do nocy, ani na jednę chwilę, choćby na tak krótką, jak przelot łyskawicy, nie przerywano. Jak długo kanonada trwała wystrzałow z ręcznéj broni nie było wcale słychać. Przy tak piękném pogodzie i czystém powietrzu prędko się rozdzielały dymy prochów, i w górę się unosząc, nie zasłaniały widoku. Zdawało mi się, że widzę obraz w wielkim formacie malowanéj bitwy! Najgorzéj zdawał się wychodzić bardzo mocny oddział wojska francuzkiego, stojący na przeciw włości Borodyno, który przez dzień cały był wystawiony na silny ogień rossyjskich działobitni, wzniesionych po wysokich i bardzo spadzistych brzegach; lecz ani bić się, ani stanowiska swego opuścić nie mógł.

Przed laskiem, nizkiemi krzakami zarosłym, stanęła francuzka bateryja, i bardzo mocny utrzymywała ogień. Pułk rossyjskich kirasyjerów usiłował kilkakrotnie wziąć tę działobitnią. Kilkakroć zbliżając się ku niéj na wystrzał kartaczowy, nacierał i cofał się; to znowu w pewném oddaleniu skupiał się do ataku; ale na raz, bliżéj podstąpiwszy, uderzył całą rozwiniętą liniją na bijącą kartaczami bateryją i zmusił ją do milczenia. Więcéj dwóch godzin strawiłem na szańcu, uważałem postęp bitwy i oddawałem się moim myślom.

Opuściłem wreszcie szaniec w zamiarze zaspokojenia nieznośnie dręczącego mię głodu. Nie daleko od *ambulansów* nadybałem kilku z naszéj muzyki oboistów, którym powiodło się było szczęśliwie znaleźć na polu kilka główek białéj kapusty. Wykopali także kilkanaście małych kartofli; co widząc, bez ceremonii zaprosiłem się za gościa na ich ucztę, dobyłem drewnianéj łyżki, którą zawsze przy sobie nosiłem, i zacząłem smaczno zajadać, mało dbając o kwaśne miny moich kolegów.

Zaspokoiwszy tym sposobem dokuczający mi głód, pospieszyłem pomagać przy *ambulansach*. Okropny miałem tam widok. Mnóstwo chirurgów, zrzuciwszy mundury i zakasawszy rękawy od koszuli, zatrudniało się gorliwie rąk i nóg odcinaniem i wyjmowaniem kul ranionym żołnierzom, których i znoszono i prowadzono nieustannie. Stosy odciętych rąk i nóg leżały w około. Mało tam zważano czy nieszczęśliwy śród operacyi wyzionie ducha. Lecz i ta smutna uczynność nie działa się bezstronnie, i wielu długo czekać musiało, nim się kuli lub nogi pozbyli. Tu miałem dosyć sposobności podziwiać się stoicznemu męztwu i żądzy sławy wojskowych. Wszystko odbywało się jak najciszéj. Nie było tam słychać żadnych dzikich wybuchów i tylko pojedyncze wykrzyki bolu obijały się o moje uszy. Wielu było takich, co z niecierpliwością oczekiwali chwili wydobycia kuli lub zawiązania rany, aby znowu jak najprędzéj pospieszyć do boju, w zamiarze wywalczenia sobie lub krzyża lub śmierci; lecz często szczęśliwi i nieszczęśliwi razem, ani piérwsze, ani drugie nie było ich udziałem. Może nie mało także przyczyniła się do téj odwagi wódka, obficie przed bitwą rozdawana. Zaledwo pojąć można, jak byli w stanie lekarze wytrwać przez cały dzień w upale i przy tak natężonéj, z największą gorliwością i najzręczniéj wykonywanéj pracy, bo zaledwo tyle czasu mieli, że kiedy niekiedy łykiem gorzałki pokrzepić się mogli.

Więcéj jeszcze niż widokiem rannych ludzi przejęty byłem do żywego widokiem pokaleczonych koni. Zdawało się, że tym szlachetnym zwierzętom, dla których w pobliskości także był zakład opatrzenia, nie brakowało rozumu w tym stanie, lecz tylko mowy do wyrażenia boleści. Lub miałażby się w tém niemém cierpieniu znamionować ich mocniejsza dusza?

Ponieważ huk dział ciągle był jednakowy, a nic jeszcze ani o zwycięztwie, ani o odwrocie nie było słychać, więc znowu koło czwartéj godziny z południa udałem się na wysoki szaniec, dla zobaczenia, jak stoi bitwa. Gdym przyszedł widziałem, że cesarz, który aż dotąd nie ruszył się z miejsca, siadł właśnie na konia i spieszył z gwardyjami naprzód. Z tego wnosiłem, że albo Rossyjanie cofać się zaczynają, albo jakie zagraża niebezpieczeństwo. Jak na szczęście było piérwsze; lecz nie mógłem ztamtąd widzieć odwrotu Rossyjan, ponieważ odbywał się częściowo i bardzo powoli, a prócz tego znaczny oddział wojska francuzkiego, stojący na przeciw włości Borodyno, przez Rossyjan osadzonéj i w ich piérwszéj bojowéj linii położonéj, zasłaniał mi widok.

Omyliłem się wprawdzie w oczekiwaniu ujrzenia ataku gwardyi, ponieważ one tylko posuwały się za wojskiem, które Rossyjanów z bójowiska parło; ależe już widziałem, co było z bitwy najciekawszego; wróciłem się odszukać zostawiony mój wózek z koniem, a w przypadku dostać jakiéj przekąski u *markietanów*, rozłożonych o trzy ćwierci mili za armiją. Lecz ci, jak się od nich poźniéj dowiedziałem, już od dni kilku nie oddalali się od wojska dla sprowadzenia żywności, bo wiedzieli, że zajdzie bitwa, któréj skutku nie można było przewidzieć, a w razie szybkiego odwrotu łatwo mogli być odciętymi od armii. Sami więc nie mieli co jeść, i tylko z wielką biédą dostałem u nich kieliszek wódki za 24 grosze srébrne.

Potém przechadzałem się jeszcze kilka godzin po brzegach Kaługi i przekonałem się, że gdyby bitwa była niepomyślnie dla Francuzów wypadła; większa część armii naszéj byłaby w rzékę wpędzona; bo na niéj kilka tylko rzuconych było mostów, zaledwo dla powoli postępującego wojska dostatecznych; o przypadku nagłego odwrotu bynajmniéj nie pomyślano. Nie wiedząc jeszcze o szczęśliwym skutku bitwy dla Francuzów, postanowiłem noc przepędzić między *markietanami*.

Kanonada, przez cały dzień jednakowo grzmiąca, ubywała ze zmrokiem tak *decrescendo*, jak się o wschodzie słońca *crescendo* rozpoczynała, i dopiéro teraz dały się słyszéć wystrzały z broni ręcznéj, a zamilkły dopiéro o godzinie dziewiątéj. Zciemniło się zupełnie, a ja, nie odszukawszy mojego wózka, znużony i głodny, musiałem chcąc nie chcąc pod spaniałym gwieździstego nieba położyć się namiotem i zakrywszy sobie głowę kołnierzem od płaszcza, usnąłem na twardéj ziemi, jakby na miękkéj pierzynie.

NAD BRZEGIEM BYSTRZYCY.

Toczysz Bystrzyco, jakby łza olbrzyma,
Którą Karpatów płacze okolica;
Księżyc tesknoty spogląda oczyma,
I w nurtach twoich smutne kąpie lica;
I ta serc czułych skrawa powiernica,
Gwiazda wieczorna, zakryła obłoki,
Tleje nad ziemią smutna, jak gromnica
Nad trunną drogie chowającą zwłoki.

Taka natura zgodna z mą istotą,
Żalom mym ona niesie ulgę błogą;
Ona mą duszę trawioną tesknotą
Wznosi nad poziom słodkich marzeń drogą;
I tam gdzie przesąd, ta życia mozoła
Skrzydły z ołowiu wzbić się nie udolną,
Tam ją zostawia, przy boku anioła,
Którego czcić mi na ziemi nie wolno!

BOŁOZ.

CHAU, TOPICIEL.

W Nantes jeszcze nie dawno żył człowiek, który *nojadami* (topieniem skazanych przez trybunał rewolucyjny) w r. 1793 kierował. Był on przyjacielem strasznego Carriera i jednym z ostatnich mężow terroryzmu we Francyi. Nazywał się Chau, był powszechnie topicielem zwany, i nie wiadomo, jakim sposobem uszedł gilotyny, pod którą zginęła większa część jego pokrewnych.

Człowiek ten pod mściwą ręką Opatrzności długo cierpieć musiał; zgroza, którą się w dniach potęgi swojéj otoczył, nie opuściła go i poźniéj; był on zawsze człowiekiem krwią zbroczonym i krwią tchnęły ślady kroków jego. Na widok jego każdy z trwogą się usuwał; przez największą ciżbę byłby mógł przejść wygodnie. Wszyscy w mieście znali imię jego, lecz nikt go wymówić nie śmiał. Sam on unikał światła dziennego; rzadko kiedy i tylko w niektórych miejscach i godzinach pokazywał się oczom ludzkim. Przez niektóre miejsca, które niegdyś krwią zbryzgał, nie byłby przeszedł za żadną cenę. Za nic w świecie nie byłby zbliżył się do brzegów rzéki, gdzie tyle ciał pomordowanych wrzucił; bo z jéj głębi zdawało mu się słyszeć wydobywające się tysiące głosów o zemstę wołających niewiast, dzieci, młodzieńców i dziewic, które temu sztraszliwemu starcowi krew w żyłach lodem ścinały.

Człowiek ten żył samotnie w małym, nizkim, wilgotnym domku, w skrytéj stronnéj uliczce. Rybacy, wskazując palcem na ten osławiony domek, omijali go ze zgrozą. Chau nié miał sąsiadów; grobowa cisza otaczała go w około. Cisza okropna, a tym okropniéjsza, że miał liczną, miłą rodzinę. Żona jego była piękna; cierpliwa, pobożna i kochała go. Utracił żonę.

Chau przeraził się śmiercią żony swojéj, on, który tylu obcym żonom śmierć zadał; żonom piękniéjszym i młodszym, matkom dwudziesto-letnim... Lecz takimito byli owi krwié i zgrozy mężowie; mordowali ludzi, a pisali tkliwe elegije na śmierć kanarka!

Żona zostawiła mu dwoje dzieci, które wychowywał z wszelką troskliwością ojca. Córka była obrazem matki; miała jéj duże błękitne oko, jéj długie jasne włosy, jéj miękkie, bogobójne serce. Syn rokował najpiękniéjsze nadzieje. Chau, topiciel, doświadczył tego, że już na ziemi jest piekło, uczuł to widząc, jak młode serca dzieci jego więdły, jak mu oboje nikły, jak jedno po drugiém umiérało. Chau nie narzekał, hardym umysłem zniósł ten cios nowy, równie jak pierwszy. Pochował córkę, pochował syna i nieporuszony, niepokonany wrócił do swego, jak grób cichego, jak grób milczącego domku.

I wtedy żył samotnie jeszcze, gdy już starość nadeszła, i zgryzotą sumienia przygniecionego ciężarem swoim ku ziemi przygniotła; gdy do cierpień umysłu jeszcze się cierpienia ciała przyczyniły. Byłato starość okropna, zupełne sił rozprzężenie, przerażająca walka zmordowanéj natury z boleściami, które co chwila ciosy swoje ponawiały.

Położył się w łóżko i na tém łożu cierpień uczuł męczarnie piekła. Kiedy niekiedy boleść niewysłowiona wydarła mu z piersi jęk przeraźliwy, i tylko przez te jęki dowiedziano się o jego chorobie. Przestrach był wielki; to miasto, gdzie więził, mordował, topił własnémi rękoma; ta wielka ofiara, która się do nóg mu rzucała, która ze łzami go o łaskę prosiła, którą on bez względu potępiał; to miasto nie chciało, ażeby kat jego w rozpaczy katuszy umiérał; posłano mu lekarza i księdza. Lekarz uznał chorobę za niewyleczoną. Ciało jego było jedną tylko brzydką raną. Odszedł lekarz. Takto zwykle czyni umiejętność ludzka; na krawędzi ostateczności cofa swoję łagodną i pomoc niosącą rękę.

Sama tylko łagodność chrześcijańska nie zna żadnych granic. Przybył kapłan i przyniósł nawet dla topiciela Chau słowa pociechy. Ale ten sądził, że widmo obaczył i wlepił oczy w księdza, który, przewidując koniec życia tego nędznika, wołał na niego głosem napominającym: »Wejdź w siebie! Wejdź w siebie!« Chau słyszał mówiącego, ale niestety! nierozumiał go. Nastąpiła scena okropna, nie do opisania. Chau odprawił księdza, nie chciał przebaczenia, ani miłosierdzia i tylko gilotyny żądał. »Dusza moja do ciebie należy Robespierze, do ciebie Dantonie!« wołał nieustannie. »Idę do was, bracia moi, którzy tak długo czekaliście na mnie. Zaprowadźcie mię na Ligierę, na czółno, dajcię mi czerwoną czapkę i mój płaszcz czerwony — gdyż jestem publicznym oskarzycielem.« Tu zrywa się umierający z łoża, i nim go kapłan przytrzymać zdołał, chwyta swoję czerwoną czapkę, wkłada na głowę, owija się płaszczem, jak krew, czerwonym, wywołuje głośno bohatérów rządu terroryzmu, przechadza się dużym krokiem po izbie, i, jak zwykł był dawniéj, wydaje rozkazy do nowego topienia. »Ja tak chcę;« rzekł. »Ja! Chau! topiciel!« Na ten krzyk zgromadza się mnóstwo ludu przed domem, którego się piérwéj lękano; razem pokazuje się czerwony płaszcz w oknie; odziane nim straszydło zachwiało się, czerwona czapka spadła na ulicę; ostatni bohatér *nojadów* w Nantes — wyzionął ducha.

LIST Z ALGIÉRU DO KRAKOWA.*)

Orang d. 10. sierpnia 1834.

...Zdrów jestem i powodzi mi się teraz dobrze. Opuszczenie miasta Bugja na d. 12. czerwca r. b. nie mało sprawiło mi ukontentowania, bo przybywszy do Orang, miasta portowego 130 mil na zachód od Bugja, a 80 mil na zachód od Algiéru położonego, pozbyliśmy się Beduinów, naszych nieprzyjacioł, którzy dotąd nieustanną prowadzą wojnę i gubią wiele narodu. Za przybyciem do Orang zastaliśmy 400 Polaków, którzy przypłynęli z Gdańska. Przybyli ziomkowie wiele dopomogli naszemu batalijonowi do uformowania się kompletnego i wzięcia nazwy batalijonu polskiego N. 4. Tak licznie zgromadzeni w jedno miejsce żyjemy weseléj, niż dawniéj, jest nas bowiem samych wojskowych 1000 ludzi, oprócz cywilnych osób płci obojéj. Polaków, którzy przybyli na mieszkanie z Francyi do Orang, liczba dochodzi do 140, niektórzy z nich mają żony, Polki, i to piękne; a ja już trzy lata nie widziałem ładnéj kobiéty. Mam tylko przed oczyma Murzynki, które im czarniejsze, tym do piękniejszych rzędu należą; Beduinki oliwkowe, Hiszpanki podobne do naszych Cyganek, i Francuzki nie najładniejsze; wszystkie gatunki tych kobiét są falszywe. Trafiają się wprawdzie i między niemi wyjątki, lecz te, tak co do charakteru, jak i urody są bardzo rzadkie. Dowódca korpusu w Oranie jest jenerał Demicheł, który także ma za żonę Polkę, rodem z Poznania, i sprowadził do Afryki ojca i brata żony. Tu w Orang panuje największa spokojność, nie prowadzimy wojny i dla tego żołd nam zmniéjszono. Murzyni i Beduini dostarczają nam ciągle z pobliskich wsi i miasteczek wszelkich potrzeb, i handel prowadzą bardzo wielki z przyległémi miastami. Na niektórych jarmarkach można dostrédz Murzynów i kupców Afryki, którzy od strony Sachary do 300 wielbłądów przypędzają z różnémi towarami, jako to: skóry, sukno, sierść z wielbłądów, pióra strusie i rozmaite inne wyroby, co wyobrażenie przechodzi, żeby ten gruby naród mógł się podobnémi wyrobami trudnić. Mamy także w naszym batalijonie dwóch księży polskich, jeden świecki, a drugi franciszkan z Warszawy. Oficérowie i żołniérze z batalijonu naszego, którzy się odznaczyli w Bugja w bitwach przeciw Arabom, ozdobieni zostali krzyżami wojskowémi na d. 1. lipca r. b. Dnia 20. czerwca, po naszym odjeździe z Bugja, odbyli Beduini wielki atak na Francuzów tak dalece i śmiało, iż zaledwie Francuzi zdołali zemknąć z działami do fortecy. Dwóch oficérów francuzkich pojmanych zamordowano, a głowy ich przybito do *blokhausu*, który także zdobyli na Francuzach; drugi zaś pobliski *blokhaus* zmuszony był wysadzić się w powietrze, wraz z 40 żołniérzami i kapitanem Mango. Trzy okręty pruskie z naszymi z Gdańska, jeden przybył do Orang, drugi pozostał w przystani Bordeaux, we Francyi, a trzeci popłynął do Ameryki; lecz ztamtąd nie mieliśmy w Algiérze żadnéj dotąd wiadomości. Z batalijonu naszego po nowym roku odchodzi z uwolnieniem od służby wojskowéj więcéj niż 100 ludzi, którzy już czas umówiony przy zaciągu odsłużyli. List ten z Afryki pewnie będzie ode mnie ostatni, gdyż zaraz po nowym roku udaję się do Francyi; lecz z Francyi sam nie wiém, dokąd się mam udać, ale najprędzéj do Ameryki. Przedsięwziąłem z dwojga jedno obrać; to jest: za przybyciem do Marsylii udać się do

*) List ten, nadesłany nam z Krakowa, i nigdzie dotąd nie drukowany, jest od tego samego ziomka, którego trzy poprzednicze umieściliśmy w Nr. 11. i 35. Rozmaitości naszych z r. 1834. Red.

konzula holenderskiego, lub angielskiego i przyjąć służbę wojskową w Batawii. W tym kraju żołniérz jest poważany i dobrze płatny. Czterem Europejczykom dają Murzyna do czyszczenia koni i innych posług, gdyż z powodu upału nadzwyczajnego Europejczykowie nie mogą tam wiele pracować. Podróż morska czasem pół roku trwa. Człowiek zaciągający się w Marsylii do téj służby dostaje na ładzie 300 szylingów do ręki, a wsiadając na okręt drugą połowę tyleż wynoszącą. Tak więc i tu można żyć szczęśliwie, komu się chce trudy znosić.

ANTONI RYBCZYŃSKI.

— Ze Lwowa. —

W czasach ostatnich wyszły tu z litografii Piotra Pillera następujące dziełka muzyczne, dla tegorocznych zapust przeznaczone: *a) Homage à l'amitié, au collection de danses executées pendant se carneval* 1835 *à Leopol; par J. Baschny. b) Soirées du carnaval, ou collection de danses; par Th. Kocipiński. c) Sześć mazurów, ułożonych i poświęconych słuchaczom trzeciego roku prawa, przez W. Danka kolegę. d) Dwa mazury na karnawał r.* 183*, przez Fr. Linhardta. e) Deux mazures par Albertine Richter. f) Deux mazures par Ch. Benkö.* Wszystkie te tańce są ułożone na fortepian.

W biblijotece narodowéj w Paryżu znajduje się rękopismo ze 133 kart *in folio* złożone, do dziejów Polski należące, pod napisem: *Instructio Legationis a sacra regia Majestate Poloniae ad serenissimum regem Daniae, dominum Fredericum Secundum, generosis Petro Kleczewski et Joanni Demetrio Solikowski, secretariis et Mtis ejusdem oratoribus. Data Varsoviae* 1568. XIII. *octobris.* Rękopismo to zawiéra wiele instrukcyj i listów Zygmunta Augusta, króla pol., do swych posłów w Danii (z których Jan Dymitr Solikowski był poźniéj arcybiskupem lwowskim), wraz z odpowiedzią Fryderyka IIgo. Instrukcyje te i listy nie były nigdy drukiem ogłoszone, ani ich dziejopisarze mieli w ręku, pisząc historyją Polski, Danii i Szwecyi w czasie wojny, prowadzonéj przez te trzy mocarstwa w r. 1563, a zakończonéj pokojem, zawartym w Szczecinie r. 1570. P. Keralio piérwszy zwrócił uwagę uczonych na to ważne pismo, dawszy krótki onegoż opis w dziele: *Notices et Extraits de Manuscrits de la bibliotheque nationale à Paris* (tom V. od str. 85 do 100). S. P.

Franciszek Klein, c. k. rzeźbiarz akademiczny i anatom w Wiédniu, zrobił popiersie Jego Król. Mości Arcyksięcia następcy tronu młodszego Króla węgierskiego, którego popiersia rozbiór znajduje się w pismie *Mittheilungen aus Wien*, redagowaném przez Fr. Pietznigg, książ. Anhalt-Bernburskiego radzcę. Zdanie o tém popiersiu wypadło nader pomyślnie. Najj. Król Jegomość wyobrażony jest w płaszczu S. Szczepana, i jestto, ile nam wiadomo, piérwsze w rzeźbie wyobrażenie ukochanego następcy tronu, jako młodszego Króla węgierskiego. Jest ono więcéj jak naturalnéj wielkości i robione jest z wolnéj ręki; rysy twarzy dobrotliwego Monarchy są mamiąco-podobne i usta przemawiać się zdają. Tenże artysta z równą dokładnością i pięknością wypracował także popiersie Jéj Król. Mości młodszéj Królowéj węgierskiéj Maryi Anny.

Obraz znanego autora sławiańskiego pana Szafarzyka, pięknie odrytowany przez Ant. Tepplara; także obraz pana Wacława Hanki, uczonego biblijotekarza i sekretarza Muzeum narod. w Pradze; zostały odbite w Wiédniu za staraniem p. Ad. Rościszewskiego, członka towarz. krakowskiego i Muzeum narod. w Pradze.

Z Krakowa (wyjątek z listu). Stolica nasza coraz przybiéra piękniejszą postać; wszystkoto winniśmy troskliwości rządu. Plantowanie miejsc, dotąd zaniedbanych, z przyjściem wiosny odbywać się będzie. Ulice gruzami zawalone lub błotniste, oczyszczono, wybrukowano; chodnikami wygodnemi opatrzono. Kanały w niektórych punktach miasta naprawiono, lub też nowe poprowadzono: z tych najznaczniejszy jest ulicą Jerozolimską, przecznicą S. Anny poprowadzony. W znacznéj głębokości kopiąc nań koryto, znaleziono wodociągi, któremi niegdyś w wodę z Wisły miasto opatrywano. Kości zwiérzęce, kule żelazne i ołowiane różnéj wielkości, działowe i karabinowe odkryte, dowodzą, iż kiedyś tu przodkowie nasi po ulicach miasta z nieprzyjacielem bój wiedli. Kościotrup męzki wydobyto kopiąc kanał przez ulicę Wiślną. W ulicy Poselskiéj odkopano sześć kościotrupów męzkich, oraz nogi końskie z wielkiémi podkowami. Poznajdowano także ostrogi, sprzączki i t. p. Oprócz pism czasowych tu wychodzących, a wspomnianych już w tém pismie (ob: nr 1. Rozm. z r. b.) zapowiedziano: Encyklopedyją polską oddziałami. Drukarń mamy dotąd 4 w całéj Rzeczypospolitéj; piąta Aug. Helzla w tym roku ma być otwartą. Przedsiębierca sprowadził czcionki z Lipska i niemi swe płody literackie drukować zamyśla. — Na Kazimierzu założono szkołę dla Izraelitów, pod dyrekcyją pana Adolfa Lewickiego. U.

Z Warszawy. Ogłoszono tu wyjście powieści oryginalnéj pod nazwą: Jan Rawicz. Ma to być piérwsze dzieło nieznanego dotąd autora, a przedmiot wzięty z obyczajów krajowych.

Z Wilna. Ces. wileńska medyczno-chyrurgiczna akademija odbyła d. 3. stycznia r. b. piérwszy raz uroczyste posiedzenie swoje. Zagaił je prezydent radzca stanu Kuczkowski czytaniem sprawozdania rocznych czynności téj akademii. Następnie czytali rozprawy profesor Eichwald i adjunkt Korzeniewski. W końcu rozdano nagrody celującym uczniom.

W Lesznie (w W. Księz. Poznańskiém) u Ernesta Güntera księgarza wyszło nowe dziełko: Złotniki, czyli złota dolina. Powieść prawdziwa podająca sposób robienia złota. Dziełko to zawiéra zabawną i nauczającą powieść; obejmuje prawie to wszystko, co włościanom wiedzieć potrzeba i przyłoży się bez wątpienia do oświaty i dobrego bytu najliczniéjszéj klasy narodu, pracą i przemysłem zatrudnionéj.

W Gazecie Szląskiéj czytamy, że przed dziesięcią laty żył w Toruniu starzec 80letni, imieniem Mathesius, prawdziwy potomek Kopernika. Mieszkał w domu, w którym ten wielki przodek jego ujrzał światło dzienne i posiadał portret Kopernika, który mąż ten za pomocą źwierciadła zrobił był własnoręcznie, i który ku wiecznéj pamiątce zachowywany był w pokoju, gdzie się Kopernik urodził. Podróżujący Anglicy dawali starcowi znaczną sumę za ten potret, lecz za żadne pieniądze nie chciał odstąpić tak drogiéj familijnéj pamiątki; tyle tylko wymogli na nim, że pozwolił im wyłamać parę cegieł z domu Kopernika. Szanowny ten i powszechnie poważany obywatel umarł przed kilką laty i zostawił po sobie jednę tylko wnuczkę.

Z Lipska. Wychodzącego tu u Breitkopfa i Härtla dzieła: Biblijoteka kieszonkowa klasyków polskich, którego wydaniem zajmuje się Jan Nep. Bobrowicz, wyszedł tomik trzeci i zawiéra Ignacego Krasickiego: »O rymotworstwie i rymotworcach.«

Znany podróżnik dr. Marcin Honigberger, o którego podróżach wspominaliśmy już w pismie naszém, wrócił do Kronsztadtu (w Ziemi Siedmiogrodzkiéj), ojczystego

miasta swojego, z ostatnéj podróży swojéj z Lahory przez Azyją środkową, Bukharę, Orenburg i Petersburg. Oby ten uczony wydał wkrótce ciekawą podróż swoję!

W r. 1725 miał Petersburg 75,000, teraz, w 109 lat poźniéj, liczy mieszkańców 449,000.

Prof. Unterholzner, sławny także jako organmistrz, wynalazł machinę do latania, w któréj ma zamiar puścić się w powietrze z tak zwanéj Łąki Teresy w Mnichowie, celem odwiédzenia przyjaciela swojego stolarczyka w Rewlu, który wynalazł znowu powóz, jeżdzący bez pary i zaprzęgu.

Pisma publiczne zwracają uwagę na nieszczęśliwe z zagorzenia pochodzące przypadki, które częstokroć śmierć sprowadzają, jeźli szybka pomoc nie nastąpi. Nie zaniedbujemy podać je ku przestrodze do wiadomości publicznej. Węgle długi czas zostawione w pokoju przy zamkniętych drzwiach i oknach, lub piec zatkany, jeźli w nim są jeszcze zarzące się głownie, zagrażają niebezpieczeństwem życia tym, którzy spią w takim pokoju; lub dłuższy czas w nim przebywają. Zagar i wtedy nawet może być zgubny, choć ani dymu ani swędu nie czuć. Samo zabijające powietrze zrządza szkodliwe skutki, lubo się nie objawia na smysły.

Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu d. 22. grudnia r. 1834 odczytano pismo Mikołaja Santi z Rimini, w którém udziela opisu aparatu, jakiego już od wielu lat używa do dochodzenia kierunku i stopnia mocy trzęsienia ziemi: »Zrobiłem (mówi on) dwie kule z materyjału białego i łatwo się ścierającego i zawiesiłem je na dwóch sznurach, idących przez ich środek ciężkości w ten sposób, że się ledwie co niedotykały płaszczyzn dwóch czarno pociągniętych ścian murowanych i pod kątem prostym się schodzących. Jedna z tych ścian obrócona była ku połnocy, a druga ku wschodowi. Za nastąpioném trzęsieniem ziemi jedna z kul odbija się od ściany, któréj się dotykała, a druga odbywa ruch wahania się ku drugiéj ścianie. Obadwa te ruchy oznaczają się przez ślady czyli białe punkty, z uderzenia kul o ściany powstałe i przez łuk łatwo wymierzyć się dające, tak, iż z tego oznaczyć można kierunek trzęsienia ziemi i jego siłę.

Statua J. J. Rousseau, ukończona przez Pradiera w Paryżu i przeznaczona do Genewy, zapakowaną została w król. instytucie dnia 19. grudnia i odesłaną na miejsce przeznaczenia.«

Sławna artystka dramatyczna panna Duchesnois umarła w Paryżu d. 7. stycznia r. b. Tysiące osób były na jéj pogrzebie obecnémi i każdy spieszył oddać ostatnią posługę artystce, która przez lat dwadzieścia utrzymywała wraz z Talmą sławę francuzkiéj sceny klasycznéj.

Książę Talleyrand rzekł raz w pewném towarzystwie: »Że Pan Bóg na to dał człowiekowi mowę, aby drudzy nie wiedzieli, co on myśli.

Dnia 1. stycznia 1834 wychodziły w Madrycie tylko: *Gaceta*, *Boletin del Comercio* i *Revista* trzy razy na tydzień; *el Siglo* (wiek) dwa razy na tydzień. Przytém był tylko jeden gabinet do czytania. Teraz wychodzą w Madrycie następujące dzienne pisma: *Gaceta, Revista, Eco del Comercio, Anales de la Administracion, Universal, Abeja, Gaceta do los Tribunales, el Tiempo, el Mensagero de las Cortes* i *el Compilador*. Oprócz tego wychodzi dwa razy w tygodniu *Gaceta medica*. Jest zatém 11 dzienników i otworzono już sześć gabinetów do czytania.

Wiele mówią o nie dawno odkrytéj roślinie, która tabakę i kawę razem zastępuje. Pojrzawszy tylko na nią, już trzeba kichać, a starta na proszek, zastępuje najlepszą mokkańską kawę. Można więc miéć przyjemność noszenia kawy w tabakierce.

Nie ma języka, któryby miał dłuższe wyrazy, od mexykańskiego. I tak np: słowo *Amatlacuilulilquiteatlaxthahuilli* oznacza nagrodę, daną posłańcowi, przynoszącemu list pewną wiadomość zawiérający.

P. Waterton, podróżnik angielski, odkrył w Demerary nie znany dotąd gatunek małp, które niezmiernie mają być do ludzi podobne, i przewyższają jeszcze Orang-Outangi powierzchownością i pojętnością.

Dziwne namiętności Anglików. Niejaki Rogerson, z powodu nadzwyczajnego upodobania w sztuce kucharskiéj, był w Anglii zwany królem gastronomów. Ojciec jego, prawdziwy Krezus, wysłał go w podróż po całéj Europie, ażeby synalek kształcił się na uczonego człowieka; ale on jednę tylko umiejętność zgłębił do źródła, t. j: rozmaite systemy sztuki kucharskiéj i metody gastronomiczne. Wkrótce po powrocie swoim do Anglii stracił ojca i wtedy dopiero puścił wodze swéj chęci. Wszystkich służących chciał miéć kucharzami; woźnica, stajenni, a nawet marszałek dworu musieli umiéć jeść gotować. Oprócz tego opłacał trzech włoskich, trzech francuzkich, a jednego niemieckiego kucharza. Z tych jeden miał ten tylko obowiązek, że musiał codzień jakiś wyborny sos zrobić. Ciągle utrzymywał gońca z Bretanii do Londynu, który mu świéże kuropatwy z San Molo przywoził. Nie raz dwie tylko potrawy kosztowały go 50 gwineów. Od jednego do drugiego obiadu liczył skwapliwie minuty; im bliższą była godzina jedzenia, tym większą radością jaśniała twarz jego. Po obiedzie stawał się smutnym. W dziewięciu latach przejadł swój cały majątek w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Żołądek jego pochłonął ogółem 1,500,000 złr. w m. k.

Do historyi bród. Z powodu blizny, którą Franciszek I., król Francyi, miał na podbródku i niechętnie ją pokazywał, zapuścił długą brodę, którą piérwéj krótko nosił. Błazen znajdzie więcéj błaznów, którzy go naśladują; a tym bardziéj, gdy tym błaznem jest znakomita osoba; wkrótce więc dworzanie, biskupi, w końcu wszyscy mężczyźni bez wyjątku zaczęli nosić we Francyi długie brody. Lecz znajdowały ony tak zaciętych przeciwników, jak poźniéj peruki, szczególniéj między duchowieństwem i prawnikami. Kapituła paryzka nie chciała uznawać biskupów z długiémi brodami i nie raz do zmuszenia jéj ku temu musiano aż powagi królewskiéj używać. Sorbona potępiła wyraźnie długie brody i zakazała nosić je księżom. Parlament pochwalił wprawdzie paryzką rzeź Ś. Bartłomieja, lecz długie brody potępił. Adwokatom i członkom parlamentu nie wolno było na sąd wchodzić nieogolonym. Aż do końcu 16go wieku i daléj jeszcze trwał spór o długie brody i ustał dopiéro, gdy Ludwik XIII. wstąpił na tron, a który będąc młokosem, brody nie nosił. Liczne pisma wychodziły za brodami i przeciw nim, i nawet najważniejsze, najokropniejsze wypadki, jakim była np: rzeź Śgo Bartłomieja (pamiętna wyrznięciem Hugonotów w Paryżu r. 1572), nie były w stanie przerwać tego wielkiego zapytania: azali wolno jest prawnikom i księżom brody nosić.

Mody. Na balu w salonie Lafitta w Paryżu najcelniéjsze toalety były *à l'antique*. Otwarte wierzchnie suknie spięte były agrafami z pereł i dyjamentów. Strój na głowach odpowiadał sukniom; osobliwie jeden był dziwnie ładny: z przodu były włosy *à l'anglaise*, z tyłu *à la grecque*, opięte równianką z róż. Spodnia suknia, z srébrzystej gazy, tworzyła tunikę, a kameje służyły za ozdobę. Gęsto noszą złotem rzucane suknie atłasowe w rozmaitych kolorach. Młode damy ubrane były w kolorowych sukniach gazowych, haftowanych w palmy kaszemirskie. Rzadko na balach widziéć się dają *boa*, najczęściéj noszą szaliki z drogich blondyn. Podczas kontradansów osłaniają się damy kaszemirami.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.